# Pierwiastek bohaterski w łowiectwie.



W epoce wielkiej wojny, toczonej przez młodą ludzkość z drapieżnym i potężnym światem dzikich zwierząt, wódz plemienia musiał być znakomitym łowcą gromiącym drapieżniki, które czychały na ludzkie życie. Jeżeli nim nie był — ginął. Łowcy chronili kobiety swe i dzieci przed żarłocznością mieszkańców puszczy. Łowcy przepędzili z jaskiń olbrzymiego niedźwiedzia, by zamieszkać w jego grotach stalaktytowych.

A gdy młoda ludzkość poczęła się zajmować w osiedlach swoich pasterstwem i rolnictwem — łowcy odpędzali groźnego zwierza od stad i zasiewów...

* * *

Idźmy w mroki dziejów szlakami dawnej legendy. W legendę bowiem zamieniły wdzięczne pokolenia czyny łowców pierwotnych i ubóstwiły ich za bohaterstwo myśliwskie i za serce bez trwogi.

Herakles, to żywa postać z dawnych wieków... To pra-myśliwy, to bohater, który — według legendy — od trzód królewskich dzikie odpędzał zwierzęta, chronił zasiewy przed mieszkańcami borów, zwalczał potwory, będące postrachem jego ludu. Grecja ówczesna pełna była bagien i nieprzebytych, podmokłych puszcz, które roiły się od dzikiego zwierza. Herakles postanowił oswobodzić ludzkość od potworów maczugą z dzikiego drzewa oliwki...

Licząc lat osiemnaście na wzgórzach Kiteronu między Beocją i Attyką zabił straszliwego lwa, który napadał na trzody Amfitrjona. Pokonawszy drapieżnika zdarł z niego skórę i zawiesił ją na plecach swoich, a łapy związał na piersi... Czyż istotnie mamy tu do czynienia z fantastyczną legendą? Ta baśń jest echem dawnego czynu łowieckiego, gdy lwy zamieszkiwały jeszcze puszcze starożytnej Hellady, gdy bohaterscy myśliwi polowali na nie z maczugą, a ubiwszy drapieżnika dumnie okrywali nagie ciało jego płową skórą.

Spójrzmy na czyny greckiego bohatera, które mu zjednały nieśmiertelność. Czyż nie są one w przeważnej części echem bohaterskich czynów łowieckich, przesłoniętych złotą mgłą legendy w pomroce zamierzchłych stuleci?

Czyn pierwszy: znowu walka ze lwem. Lwy jeszcze w czasach Homera zamieszkiwały Helladę...

Herakles stara się przeszyć nemejskiego lwa strzałą, lecz strzały nie ranią ciała potwora. Wali go zatem maczugą w kark — lew wstaje z ziemi chwiejąc się na nogach... Wówczas bohater ostatnim wysiłkiem dusi straszliwego drapieżnika...

Czyn drugi. Walka z hydrą Lernejską, okrutnym i krwiożerczym wężem. Czyż opowieść o tej walce nie jest również zamierzchłym wspomnieniem myśliwskim?

Czyn trzeci. Polowanie na szybkonogą łanię kerynejską, ulubioną łanię Artemidy, o złotych rogach i kruszcowych nogach... Cały rok Herakles tropił ślady upragnionego zwierzęcia, które miał dostarczyć Eurysteusowi żywcem... Myśliwski trud uwieńczony został powodzeniem w szczęśliwej Arkadji.

Bohater przestrzelił nogę złotorogiej łani i zaniósł ją żywą, jako zdobycz łowiecką...

Czwarty czyn bohaterski Heraklesa jest również czynem myśliwskim. Na górze Erymancie w Arkadji olbrzymi odyniec szerzy postrach śród ludności. Herakles począł tropić dzika erymanckiego, a gdy go znalazł począł krzyczeć wielkim głosem, by spłoszyć potwora... Dzik umykał przed bohaterem... Herakles zapędził go w głęboki śnieg, gdzie go z łatwością dopadł i związał...

Łowieckie wspomnienie bohaterskie jest też w opowieści o stymfalijskich ptakach, o poskramianiu smoków i potworów piekielnych, żywiących się ludzkiem mięsem i trapiących helleńskie osiedla...

Herakles nie był wytworem wyobraźni — lecz typem pierwotnego łowcy — ubóstwionego za swe bohaterstwo...

Minęły tysiące lat... Dawno wyginęły lwy w Helladzie... Wśród nieprzebytych moczarów niema dziś groźnych węży lernejskich... Nawet odyńce erymanckie nie są już straszne dla mieszkańców szczęśliwej Arkadji...

Lecz legenda o dawnej wojnie z tym dzikim a potężnym światem trwa i trwać będzie wiecznie... Myśliwcy, którzy bohatersko życie swe narażali, aby ocalić lud przed krwiożerczością drapieżników — przeszli do tej legendy na wieki...

* * *

Nie zawsze jednak myśliwy tryumfował w walce z dzikim zwierzem... Cudny chłopiec Adonis, kochanek Afrodyty, nie pierwszy i nie ostatni skonał pod kłami rozszalałego dzika... Z krwi jego wyrastały róże, a z łez bogini — anemony... Ziemia pełna była krwawych róż i łzawych anemonów — nim ludzkość tryumfująca poskromiła wreszcie dziką Przyrodę...

* * *

W puszczach odwiecznych przodkowie nasi bili na łowach żubry i gniewne tury... Chwytali się za bary z niedźwiedziem... Kłuli oszczepem odyńca...

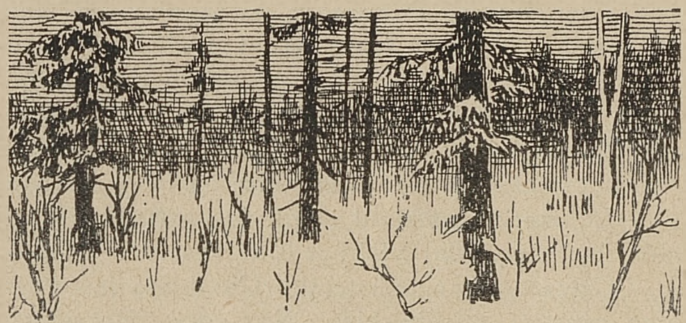
Odwieczny pierwiastek bohaterski trwał w łowcach, był ich dumą, a choć zwierz przestał grozić życiu ludzkiemu, choć wojna obronna zamieniła się w walkę zaczepną — dawne bohaterstwo wycisnęło na wieki na szlachetnym łowiectwie niezatarte piętno rycerskości...

*Juljan Ejsmond.*



# Strzelanie kozłów bez parostków a kultura myśliwska.

*W odpowiedzi Łowcowi Polskiemu № 2, 7, 8, 9 i Łowcowi № 3, 6, 7, 8, 9, 10. Difficile est satiram non scribere.*



Od przeszło roku zajmuje się mną prasa łowiecka. Zmarłbym cicho i przeszedł bez śladu do potomności, jak zając na półmisku, gdyby nie ona. Obecnie jestem nieśmiertelny jak—Herostrat. Ona rozgłosiła już w lipcu z. r. (czytaj № 2 „Łowca Polskiego“ str. 11), iż przez 10 lat przezemnie redagowane „Łowiectwo Polskie“ przestało wychodzić (daj mu panie Boże 100 lat zdrowia w szczęśliwym małżeństwie z „Przeglądem Myśliwskim“), iż go „żałować niema powodu, bo mimo pracy p. Wł. J. P. pisane było językiem fatalnym i nie stało nawet na poziomie pisma prowincjonalnego“ *). Gdy „Poznański Związek myśliwych“, z którym tylko tą jedyną mam wspólność, iż byłem jego założycielem, przesłał wniosek do ministerjum o zakaz odstrzału jeleni w Karpatach oczywiście i „Polski Związek Myśliwych“, którym sterowałem był temu winien i „zapadł na megalomanję i uzurpowanie sobie przez nikogo nie uznanych praw zwierzchniczych“. (Czytaj № 3 Łowca str. 36). Gdy „Przegl. Myśl.“ i „Łow. Pol.“ zamieściło mój artykuł o „Polskiej wyprawie“, którą następnie jednomyślnie potępiły nie tylko dzienniki, ale i cała zdrowa opinja publiczna, rzuciła się krytyka prasy łowieckiej, jak kania na puhacza, zarówno na autora jak i na redakcję oskarżając pierwszego o „antagonizm klasowy“ a drugą o „obrażające uczucia estety i dżentelmena“ (czytaj „Łowca“ № 6 str. 88 i 89). Przytem notabene zdarzył się „dżentelmenom“ mały lapsus sapientiae, bo nie Połczyński napisał wiersz: z Czartoryskim żyć, z Radziwiłłem pić, przypominający pieśń: „Cześć wam panowie magnaci!“ ale Edward Odyniec, za którym z „Listów z podróży“ z tomu III-go powtórzyłem.

Fryderyk II król pruski spostrzegłszy pewnego razu tłum uliczny silący się odczytać wysoko na słupie naklejony, a przeciwko niemu napisany paszkwil, nakazał policjantowi niżej powiesić, aby publiczność wygodniej czytać go mogła.

Myślę więc, że i ja redakcjom i autorom wszystkich tych artykułów wyświadczę podobną, a z ich intencją zgodną przysługę, iż co dosadniejsze ustępy z nich w poczytnem piśmie naszym powtórzę.

A więc czytaj Sz. Publiczności!

Autor „Burzy w szklance wody“ uznaje strzelanie kozłów bez parostków za prawidłowe!

Największą więc zbrodnią, zbrodnią równającą się herostratowej, popełnia się podkładając ogień

*) Członkowie Redakcji „Łowca Polskiego“ widocznie zmodyfikowali następnie zdanie, gdyż inny członek Redakcji pisma tego pisał do mnie w dn. 12.II.1924. „Chętnie byśmy widzieli jakiś artykuł z pod utalentowanego pióra pańskiego pozyskany dla naszego wydawnictwa“.

(Przyp. Autora).

pod świątynię Djany Poleskiej, w której składają ofiary z kozłów w miesiącu grudniu, styczniu a nawet lutym.

W „Kultur“ niemiecką „tout court“—czytamy tam — „żyrowaną przez różnego kalibru Diezel'ów i Raesfeldów“ — nie wierzy autor, bo „Wilhelm II zalecał narodowi swojemu topienie kobiet i dzieci w Luzytanji“... Dziwnym jednak sposobem makaronizuje artykuł swój wielu wyrażeniami w języku Goethego i Schillera (Leitmotiv, ohne weiteres, abreiten, krank werden lassen, langer Rede kurzer Sinn i t. d. i t. d.), jak byśmy byli językowo upośledzonymi Eskimosami.

Jako przykład do jakich argumentów niezwykłych logiki, a nawet oryginalnej filozofji, ucieka się autor, „Burzy“, aby przeciwnika w nicości pogrążyć, niechaj posłuży następujący ustęp.

„W kulturę na słowo już nie wierzymy. W rozprawie tymczasem o której mowa, znajdujemy li tylko dogmatyczną wiarę w kulturę, który to wyraz, istny „Leitmotiv“ spotykamy tam osiemnaście razy. Kultura tak chce, kultura tak każe! Według słów Sz. Autora stosują się do niej nawet (?) sarny. Rzeczowych za to danych mogących przekonać przeciwników bronionej z namiętnością tezy, brak (?) zupełnie“.

(Tu następuje ustęp o moich ciasno osobistych poglądach i upodobaniach, który jako osobisty pomijam).

„Rzeczowy więc rozbiór tezy stawianej przez p. Jantę-Połczyńskiego i odpowiedź na nią zadaniem łatwem nie jest (?!!). Nie podobna jednak zbyć milczeniem i nie prostować stworzonych ad hoc i podanych bez zająknienia w piśmie fachowem, jak mówi Sz. Autor, aksjomatów przyrodniczoetycznych w rodzaju następującego: „...jest przeciwne dobrym obyczajom, które znów są prawem przyrody i kulturalnego człowieka“.

— Gdzie tu Rzym, gdzie Krym? gdzie widział to Sz. Autor?

— Dobry obyczaj prawem przyrody i prawem kulturalnego człowieka? Jako frazes brzmi to może ładnie, ale wyssane jest z palca i z gruntu fałszywe. Gdzie panuje jedno jedyne prawo przyrody, jakie mamy, prawo walki o byt, tam ani na dobry obyczaj, ani na kulturę miejsca niema“.

— „Jedno wprost wyłącza drugie“.

„Przyroda np. najwyraźniej w świecie, upodobała sobie psa z ogonem, a nie kusego, jak niedźwiedź, albo zając. Ufna więc w przysługujące jej bezsporne prawo, w ozdobę tę czy przydatek zaopatruje go uporczywie od wieków.

Kulturalny człowiek tymczasem, bez żadnej zrozumiałej przyczyny, dla obyczaju jedynie, który podoba mu się uważać za dobry, nieszczęśliwy ogon ten również uporczywie ucina“.

Nie mam zamiaru w piśmie łowieckiem kontynuować napoczęty dyskurs w myśl Kanta o logicznem myśleniu, lub w myśl Haekla o powstaniu i przeznaczeniu ogona, odpowiem więc tylko krótko:

Prawo walki o byt bez ograniczeń znane jest tylko u dzikiej fauny i flory, u hodowanej już prawo walki uregulowała ręka ludzka — siebie samego obronił człowiek przed dzikim prawem walki o byt, u dobrych dobrymi obyczajami, u złych — kodeksem karnym. Bez tego nie byłoby kultury nowoczesnej i starożytnej greckiej, egipskiej a nawet chińskiej.

Ucinanie zaś ogona czyli kurtyzowanie u konia i psa nie jest kulturą, jest tylko tak samo, jak zawieszanie w nosie kolczyków u Papuasów, kaleczenie nóg kobiecych u chińczyków, a innych części ciała u Turków, złym obyczajem i wstrętną modą. Zwierz dostał od natury ogon, ażeby się od owadów oganiał, jak to pięknie nasz język w nazwie samej określa. Strzelanie kozłów bez parostków, jak i ucinanie psom i koniom ogonów, powtarzam na tym miejscu raz jeszcze — jest przeciwne dobrym obyczajom, które znów są prawem przyrody i kulturalnego człowieka.

Dla wykazania różnicy polowania na podjezdnem z naganką czytamy opis polowania u p. W. w jakimś raju zwierzęcym po wypędzeniu pierwszego człowieka, gdzie autor za pomocą „Józka stajennego“, który biczem sarny naganiał, zabił osiem kozłów, „same szóstaki i już przed śniadaniem był z powrotem“, a przed obiadem jeszcze trzy, razem w pół dnia 11 — słowami: jedenaście kozłów.

Dalej czytamy tam, a powtórzyć należy to dla niezwykłego wydarzenia już dosłownie:

„Syt chwały, pełen szczerego podziwu dla niemyśliwego gospodarza, wyjechałem nazajutrz z ustalonym zdaniem, co myśleć mam o strzelaniu kozłów z podjazdu. „Trofeów“, swych nie widziałem, bo zatrzymał je gospodarz, a nie dostawiono ich na czas z leśnictwa“.

Mnie się zdaje, że autor krzywdę czyni nazywając gospodarza nie myśliwym. Jeżeli te „trofea“ nie były z kozłów hodowanych w oborze, to p. W. dobrze wiedział dla czego „nie dostawiono na czas trofeów z leśnictwa“.

Widocznie nie uważał za właściwe pozostawić parostków (jak to jest ogólnie przyjętym zwyczajem) gościowi, który zabiwszy 11 kozłów o nie się nie troszczył, nawet ich na rozkładzie nie obejrzał. Dla prawidłowego myśliwego jest obrazą, jako dla gościa, zabić kozła, a bez trofeum odjechać.

Sz. autor „Burzy“ początkowo nie rozumie o co chodzi, w czem widzę „grzech“. „Czy w obławach na sarny, jako takich, czy w używaniu śrótu, czy w strzelaniu do kozłów bez rogów (!!)?“

W końcu wszakże przyszedł do przekonania, iż:

„Chodzi o różki. P. Janta-Połczyński jest zdecydowanym amatorem różków (!!) sarnich, które stawia wyżej niż trofea, jakie daje jeleń lub łoś. Oburza się więc na myśliwych, którzy o wspaniałe trofeum nie dbają i dla sportu poświęcają je dobrowolnie“.

„Najoryginalniejsze upodobania osobiste“, czytamy dalej „o ile nie szkodliwe są i nie obrażają nikogo, uszanować należy, czy podzielamy je, czy nie. Zbierają marki pocztowe, motyle a nawet fajki i pudełka od zapałek, dla czego zbieraćby nie miał myśliwy różków, czy parostków sarnich“.

Mam zaufanie do naszych czytelników, iż do ustępu ostatniego dorobią sobie sami komentarze.

Rzeczowo — bez animozji i osobistych wycieczek—interpeluje mnie tylko autor „Burzy“ dwukrotnie i to w sprawie strzelania sarn na obławach wogóle, a śrótówką w szczególe, pragnąc poznać dokładniej przyczyny ich niewłaściwości. Oto — równie rzeczowa odpowiedź:

Sądziłem, iż wszyscy myśliwi, nawet na kresach, wiedzą, iż są dwojakiego rodzaju obławy: jedna—na której się używa niekiedy setek ludzi i przy niej strzela śrótówką wszelką zwierzynę drobną jak zające, bażanty, króliki, lisy i t. p. — druga zaś t. zw. ciche pędzenie (naganka bez okrzyków postępuje wolno, raz po raz tylko uderzając kijem o drzewo) jedynie na grubą zwierzynę z udziałem kilku lub kilkunastu ludzi z naganki — zależnie od wielkości ostępu. Tam strzela się grubą zwierzynę (do której i sarna należy) jedynie kulą. Dla myśliwych znających to polowanie, objektywnych jest jasnem, iż występując przeciwko strzelaniu sarn na obławach, miałem na uwadze tylko pierwszy jej rodzaj na myśli i skrytykowałem tych, którzy setki rozkładu drobnej zwierzyny przystrajają (patrz ilustrację w „Łowcu Polskim“ Nr 7) kozłami bez parostków. Cicha naganka ma tę właściwość, iż zwierzyna—tak samo i sarny—wychodzi na strzelca spokojnie i bez tej nerwowości jaką się u zwierząt widzi przy obławach. Praktykowaną jest też we wszystkich krajach i ja jej nie jedne kapitalne parostki zawdzięczam.

Strzelanie kulą do sarn nazywa autor „modą“ zaprowadzoną w Niemczech jedynie w celu przysposobienia się do wojny wszechświatowej.

Czy autor naprawdę sądzi, iż nam nie potrzebną jest wprawność w strzelaniu kulą, iż Liga Narodów ochroni nas od wojny lub walczącym nakaże strzelać tylko śrótówką?

A teraz jedno pytanie. Czy Sz. Autor uważa myślistwo za rzemiosło, czy też za sztukę? Jeżeli za rzemiosło — to próżna nasza dysputa. Jeżeli za sztukę, to czemuż u p. W. nie kazał kozłów z koniczyny „Józkowi stajennemu napędzać sobie batem“ i nie strzelał śrótem?

Jak kowalstwo jest rzemiosłem, a złotnictwo sztuką, tak rzeźnictwo będzie rzemiosłem a myślistwo . od wieków naprzód rycerską zabawą, a obecnie, niekiedy zaprawioną sportem, ale zawsze sztuką. Sztuka ta nałożyła pewne prawa i obowiązki w zgodzie będące z dziełami przyrody, etyki, z dobrymi obyczajami i sztuką. Do takich n. p. należy, nie strzelanie do kuropatw bieżących w bruździe lub żerujących na śniegu, do zająca w kotlinie, do spieszonego bażanta, a wreszcie do wszelkiego zwierza co ma raciczki jedynie kulą. A obyczaje te obowiązują z tych samych powodów, jak w czasach walk rycerskich dobre obyczaje zabraniały uderzenia kopją w przeciwnika wysadzonego z siodła. I zwierzowi, który tylko szybkością i węchem (wiatrem) nas przewyższa, należy dać możność obrony, możliwość ucieczki przed przewagą i inteligencją człowieka. Przeciwdziałanie tym zwyczajom nie jest sztuką, ale zwykłym rzemiosłem i dla tego nie godne prawidłowego łowiectwa. Zwyczajów tych nie podyktowała moda niemiecka, ale ogólna kultura łowiecka Austrji, Czech, Szkocji, Szwajcarji i Węgier. Strzelanie sarn kulą przy dzisiejszej broni jest też najhumanitarniejszym środkiem zabicia, pocisk z płaszczem i ołowianym końcem nawet miękko strzelonej sztuce nie pozwala ujść więcej nad kilkadziesiąt, najwyżej kilkaset metrów, przyczem odpływ farby jest tak wielki, że nie tylko tropowiec, którego każdy myśliwy mieć powinien, ale i sam myśliwy po czerwonym tropie z łatwością postrzałka odnajdzie.

Sz. Autor w kilku godzinach miał na rozkładzie 11 kozłów, jak czytamy, wszystkie z miejsca strzału podniesione, czy go to jeszcze nie przekonało o wyższości gwintowanej nad gładkolufową bronią?!..

Przed 60 laty—byłem natenczas jeszcze młodym człowiekiem—strzelano i u nas jeszcze sarny na obławach śrótówką i nie było jednego takiego polowania, na którymby sarn na miękko strzelanych szukać nie było trzeba. Ś. p. ojciec mój lubo tolerował strzelanie kozłów śrótówką na obławach, w poszukiwaniu za postrzałkami był b. sumienny i nieubłagany, a poszukiwanie ich trwało nieraz godzin kilka, wykonywane było bezzwłocznie ku niemałemu utrapieniu gości myśliwych. Pamiętam

też wypadek, iż myśliwy strzelający do kozła, będącego w chmarze, trzy sarny śrótem okaleczył, które dopiero po kilku dniach i to tylko dzięki śniegowi dobite zostały. Przy kuli jest takie wydarzenie nadzwyczajnym wypadkiem, siła uderzenia na 50 czy też 350 met. jest równa i wytwarza ranę tylko w jednym miejscu. Śrótu Nr $3^1/_2$ mm· 110—130 ziarn obsypuje na 40 metrów całą sarnę, kaleczy wszystkie członki, nie wyjmując tak drogocennych (dla mnie przynajmniej) jak parostki, zabija często tylko przypadkowo. Gorszy jeszcze pod tym względem jest strzał loftkami, bo powoduje strzelca, mającego taki kaliber w strzelbie, do lekceważenia odległości i do lekkomyślniejszego jeszcze pociągnięcia za cyngiel.

Czym Sz. Autora i jego poleskich wspólników przekonał argumentami powyższemi? Mam nadzieję.

Jeżeli więc panowie w swoich poleskich matecznikach nie możecie inaczej strzelać kozłów jak na obławach dopiero w lutym i to śrótówką, to strzelajcie z Bogiem, jeżeli Wam to do wybicia kosztów dzierżawy potrzebne, ale w cichości, ale nie chwalcie się z tym, że to sport, bo to ani zręczność, ani sztuka trafić śrótem metrowej wielkości zwierza, nie fotografujcie takich rozkładów i nie ogłaszajcie w pismach waszych, bo nie tylko daje się zły przykład, ale i rumienić się trzeba za to przed prawidłowym myśliwym-cudzoziemcem.

O wartości trofeów zdobytych kozłów nie będę się sprzeczał z autorem. Bez wątpienia większe są rozmiarami trofea jelenia od kozła, łosia od jelenia, słonia od łosia, a jeszcze większe mamuta od słonia. Trudno dyskutować o osobliwościach parostków z tym, który ich nie zbiera, własną kulą zabitych kozłów nie ogląda, a pięknych okazów na wystawach i w zbiorach prywatnych prawpopodobnie nie widział pisząc o „banalnych i tuzinkowych trofeach sarnich".

Za to stanowczo wystąpić mi należy przeciwko przypisywaniu mi dzielnicowości, którą to w ironiczny sposób dokumentuje Autor w zdaniu:

„Nie obcym nam jest również, używany odrębnie przez jej wyznawców, sympatyczny, mentorsko-praeceptorski tonik, jakim wykładaną bywa kultura na użytek ignorantów „z za kordonu".

Przeciwko niewłaściwym obyczajom myśliwskim występowałem w piśmie i czyniłem to przez cały czas czynności mojej, stojąc na czele stowarzyszeń łowieckich w Wielkopolsce. A gdy przed kilku laty jeden z moich krewnych poznańskich pozwolił gościowi zabić kozła, opuściłem obławę i odtąd noga moja na polowaniu u niego nie postała. Gdy „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie", których jestem współpracownikiem, rozpoczęły ogłaszać rozkłady kozłów na zimowych nagankach, jak to i inne pisma czyniły, nie tylko przeciwko temu stanowczo wystąpiłem, nie tylko napisałem rozprawę, która, jak widzimy wywołała „burzę" i to nie tylko „w szklance wody", ale nadto — gdy jej na razie nie zamieszczono i ogłaszania nie poniechano, zaprzestałem na razie w piśmie współpracy aż do czasu uwzględnienia mych życzeń.

Jak Autor rozumie „rycerskość" w imieniu której mnie ostrzega i jak ją zastosowuje w praktyce widzimy ze wszystkich 10 numerów „Łowca" zajmujących ów artykuł. Wymienia mnie tam bezustannie po nazwisku i wreszcie w ostatnim ustępie tak charakteryzuje:

„Myśliwym p. Janta-Połczyński jest może dobrym, ale daru przekonywania przeciwników i jednania stronników dla swych poglądów poskąpił mu los. Ein guter Mensch, aber ein schlechter Musikant".

Co znaczy po polsku: dobry człowiek, ale lichy muzykant. Niestety! pojęcia muzyki są rozmaite, jedni są zwolennikami symfonji, a inni uznają tylko janczarską, inni nawet murzyńską instrumentację.

Kończy zaś następującym zdaniem:

„Nie chcąc wkraczać w atrybucje Komitetu redakcyjnego „Przeglądu Myśliwskiego" język i tok rozprawy pomijam".

Prawo krytyki języka przyznaje każdemu a więc i autorowi, wszakżeż, jak to już w Nr 2 „Łowca Polskiego" powiedziano piszę „językiem fatalnym". Ażeby się poprawić należałoby jednocześnie i pouczyć jaki to język panowie Redaktorzy „z za kordonu" mają na myśli, czy myśliwski czyli terminologiczny? Jeżeli o myśliwski chodzi w takim razie wzajemne pouczenie się, chociaż nie w takiej formie jak to czytaliśmy, uważam za pożądane i dla tego zwracam Sz. Redakcjom uprzejmie uwagę, iż często w ich pismach powtarzające się wyrażenia jak: rudle, kümerer, sztuciec pürszowy, fretka i jak autor nawet w ostatnim artykule używa: strzał oddać (Schuss abgeben) „nieudanym sztychem" a parostki stale nazywa rogami — są wyrażenia nie właściwe lub germanizmy, które powinny być zastąpione wyrażeniami polskiemi. Polecam pod tym względem terminologję Kozłowskiego, X. Niedbała a wreszcie terminologję podaną w I tomie „Łowca Wielkopolskiego", którą w praktycznej formie dla użytku myśliwych ogłosiłem.

Ale krzywdę zrobiłbym autorowi „Burzy" gdybym tutaj jeszcze nie miał powtórzyć ustępu, na który w żadnym sercu kochającym myślistwo nie znajdzie sprzeciwu, a który pragnąłbym na

owym słupie ogłoszeń króla Fryderyka umieścić jaknajniżej:

„Dla łowiectwa naszego wybiła godzina, a pokolenie nasze jest ostatniem może, któremu dane było polować w prawdziwych kniejach i doświadczyć łowów takich dziki niezrównany czar. Bodaj nie zawsze widząc, na co patrzymy, jesteśmy świadkami odgrywającej się w przyrodzie naszej wielkiej tragedji życia, tragedji jakich już wie e widział świat. Fauna cała i przeważna, najpożyteczniejsza i najpiękniejsza część awifauny naszej skazaną jest na zagładę. Tępione niepoczytalną ręką, zginą nieprzeszkadzając nikomu, zwierzostany, przestaną istnieć zamieszkujące ten kraj od wieków gatunki całe.

Przyczyną pogromu nie wróg będzie, ani żywioły. Posłuszni odwiecznemu przekleństwu, jakie ciąży nad tą nieszczęsną ziemią, dzieła zniszczenia dobrowolnie własnymi rękami dokonują mieszkańcy sami, przyrodzeni jej gospodarze. Tak chce Nemezis i nic wyroku tego odwrócić nie jest w stanie. Właściwy wszelkim poczynaniom bezwład i bezład, od szczytów do podstaw, wraz ze słowiańskim zmysłem zniszczenia, jaki mamy w charakterze, sprawią, że gałąź jedną całej gospodarki krajowej, podstawę bytu setek rodzin, bezmyślnie niszczymy sami.

Następstwa systemu tego rzucają się w oczy, dziś już na każdym kroku. Bogate jeszcze do niedawna, pełne życia knieje i pola pustoszeją, zwierzostany przechodzą do historji. Otworzył posępny ten pochód żubr. W ślad za nim pójdzie, nie istniejący już dziś jako zwierz łowny, łoś, a dalej jeleń, dzik, sarna i t. d. Nie dalekim jest dzień, w którym marny szarak i kuropatawa uważane będą za rzadkość“.

„Wszystko pięknie, wszystko wcale, ale tutaj nie bez ale“, napisał W. Pol w „Pieśni o ziemi naszej“. Jeżeli te słowa nie mają się stać czczym frazesem, to wobec takiego przekonania pytam się autora z ręką na sercu, czy należało uczynić taką rzeź kozłów 89 sztuk (chociaż to było w roku 1911) i ilustrować w piśmie łowieckiem w obecnym czasie?

Po tych wzniosłych słowach przechodzi autor znów na nutę osobistą i pisze:

„Złą wyświadczył przysługę łowiectwu polskiemu p. Janta-Połczyński siejąc niezgodę i wszczynając teraz właśnie drażniący i niepotrzebny zgoła spór, w sprawie błahej i śmiesznej trochę“.

A więc występowanie przeciwko zabijaniu rozpłodników sarnich w czasie, gdy ich kwalifikacji rozpoznać nie można nazywa się śmiesznem, a karcenie zwyczaju tego sianiem niezgody?

O tej zgodzie nie mówcie lepiej, ażeby się Wam Sz. Panowie przy tej uczcie pokojowej nie ukazał czasem duch Banka w postaci „Polskiego Związku Myśliwych“.

*Wł. Janta-Połczyński,*

*P. S.* Tak semo potępia strzelanie sarn na nagankach X. Niedbał w dziele swoim: „Z łowisk Wielkopolskich“, a inż. W. Krawczyński w „Łowiectwie“ tak o nim się wyraża: „Łowy z naganką na sarny nie powinny być wogóle praktykowane, bo wówczas odstrzał następuje raczej „dla mięsa“ aniżeli dla myślistwa, strzelcy bowiem nie mają czasu segregować wypadającej z miotu zwierzyny na sztuki jałowe, chorobliwe lub kozły o słabym urożeniu, lecz strzelają osobniki, które korzystnie nadejdą pod lufę i nieraz zostają od strzału łu takie, które stanowią najbardziej pożądany materjał rozpłodowy.



## Sven Hedin znakomity podróżnik szwedzki nie jest usposobiony wrogo do wszystkich podróżników polskich.

Dowodzi tego list jego do Gen. Bron. Grąbczewskiego, członka Honorowego Komitetu Redakcyjnego naszego pisma. List ten brzmi:

Sztokholm 12.I 25 r.

Kochany Panie Generale!

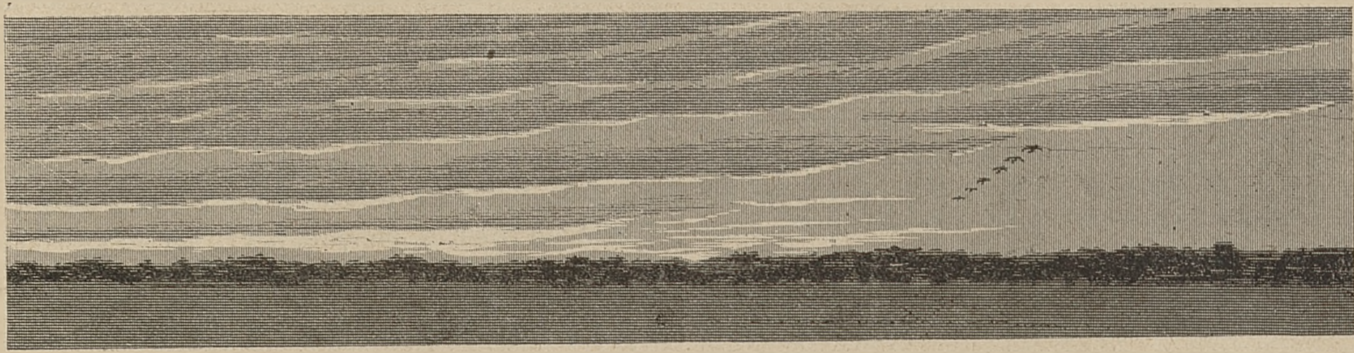
Dziękuję Panu z całego serca za przesłanie Pańskich przepięknych dzieł o Kaszgarji, Pamirze i Hindukuszu.

Czytając rozdziały tych dzieł ileż tam znalazłem tak dobrze znanych mi krajobrazów i typów, które tak świetnie pamiętam.

Tak. Bardzo dawno widzieliśmy się tam w górach! Ma Pan rację. Było to w czasach naszej pięknej młodości, która już nigdy nie wróci.

Dziękując Panu raz jeszcze, ściskam dłonie Jego serdecznie i pozostaję na zawsze szczerze oddany Panu i szczerze kochający Go

*Sven Hedin.*



# MÓJ PIERWSZY WILK.

*Wspomnienia z dawnych lat.*

Ojciec mój był słynnym i bodaj czy nie najlepszym myśliwym i strzelcem na cały Włodzimierski powiat na Wołyniu; trafić idącego na sztych dzika kulą między oczy, lub zwalić dubletem dwa kozły, idące z błyskawiczną szybkością, ze słowami: do torby! na rożen! było to dla niego chlebem powszednim.

Jak długo przetrwała sława jego, dowodzi fakt, że gdy syn mój, a jego wnuk, wstąpił do szkoły Wróblewskiego w Warszawie (w 1903 r.), staruszek profesor, pochodzący widać z tych stron, zapytał go: „czy nie dziadek twój czasem był tym głośnym strzelcem, znanym na Wołyniu wraz ze swą słynną Lepażówką?“.

Odziedziczyłem i ja po ojcu żyłkę myśliwską, na rozwijanie się której z wiekiem wielce wpływało przysłuchiwanie się z zachwytem opowiadaniom i rozmowom toczącym się między odwiedzającymi dom mych rodziców sąsiadami myśliwymi.

Rosnąc w takiej atmosferze, marzyłem o tej chwili, gdy dorósłszy, sam będę uczestnikiem polowań pełnych najrozmaitszych przygód, — a tymczasem cały prawie czas wolny od nauki spędzałem mordując bez pudła z łuku dziki i wilki pod postacią pni w parku.

Gdy oddany zostałem do szkół w Równem, były tam rozpowszechnione pomiędzy uczniami proce, zwane z rosyjska „rezinki“, - składające się z dwóch gumowych sznurków umocowanych na widełkach, połączonych skórką, na której kładło się grubą śrócinę; mocno naciągnięta i nagle puszczona miała taki impet, że na odległość stu kroków rozbijała szybę w oknie nielubianych profesorów; wskutek tego broń ta była surowo przez władze szkolne i policję zabroniona; ma się rozumieć, że nie omieszkałem natychmiast zaopatrzyć się w taki instrument i przez wakacje doszedłem do takiej wprawy, że prawie każdego wróbla trafiałem, a raz udało mi się zabić jakiegoś nieostrożnego dzikiego gołębia.

Ojciec mój bojąc się, by ta zabawa nie odrywała mię od nauki, nakazał mi zaprzestać jej, a za to, gdy przejdę do czwartej klasy. dostanę prawdziwą fuzję. Można sobie wyobrazić z jak zwiększoną gorliwością wziąłem się do nauki i jak mi te dwa lata wydały się nieskończenie długiemi (byłem wtedy w drugiej klasie).

Gdy nareszcie po ostatnim egzaminie w 3-ej kl. pewny byłem promocji, natychmiast wysłałem do rodziców telegram z tą wiadomością, mając na myśli nie tyle sprawienie im tem przyjemności, ile raczej chcąc w ten sposób przypomnieć ojcu o obietnicy.

Jakoż po przyjeździe do domu ku nieopisanej radości spostrzegłem zawieszoną nad mem łóżkiem pojedynkę 22 kaliber, ma się rozumieć pistonówkę, gdyż w owe czasy (1876 r.) odtylówki w tych okolicach nie były jeszcze znane, Bekerówka, którą ojciec mój przywiózł sobie z Warszawy, była przedmiotem podziwu i zazdrości okolicznych myśliwych.

Wobec panującego wówczas rygoru, nie ośmielałem się wspomnieć o obietnicy i udawałem, żem nawet nie widział przedmiotu mych marzeń — dopiero, gdy ojciec dał mi ćwiartkę papieru z narysowaną na niej kaczką, kazał przybić na ścianie i odmierzywszy 20 kroków wyprobować moją flintę — po serdecznych podziękowaniach, z radością, ale i wielką tremą wykonałem przygotowania do debiutu, starając się zachować spokój, jak to przystoi prawdziwemu myśliwemu, — lecz po strzale zapomniałem o tem i całym pędem poleciałem do celu, gdzie ku nieopisanej uciesze zobaczyłem, żem się pudłem nie skompromitował, gdyż w ćwiartce było dziesięć śrócin, z których pięć w samej kaczce, co dowodziło, że broń była dobrą.

Zacząłem więc wprawiać się w strzelaniu naj-

pierwej na wróblach, potem na szpakach i gołębiach w parku, a pod koniec wakacji pozwolił mi ojciec pod kierownictwem starego sługi i doskonałego myśliwego, poleszuka Kuźmy, polować na kaczki, których na jeziorach okalających tu nizkie brzegi rzeki Słuczy, było mnóstwo; upolowałem ich cztery, z których jedną w lot, co mię napełniło wielką radością, jak również poczciwego Kuźmę, zachwyconego szybkimi postępami kochanego panicza.

Każde święta i wakacje dawały mi możność wprawiać się w strzelaniu i nabywać praktykę łowiecką pod kierownictwem ojca, który mię często brał na polowania, tak że mając 18 lat byłem już niezłym strzelcem i myśliwym i miałem na sumieniu moc ptactwa wodnego i błotnego, a w kniejach z gończemi — sporo zajęcy, kilka lisów i sarn miałem już wtedy broń należytą, — pistonówkę, ale ze znanej firmy Kuchenreutera, doskonale bijącą.

Martwiło mię tylko, że chociaż byłem już na kilku obławach na wilki, ani razu żaden na mnie nie wyszedł. A była ich w ogromnych lasach w Rówieńskim powiecie, gdzieśmy wonczas mieszkali, wielka ilość, tak że czyniły one znaczne szkody zwłaszcza u włościan, którzy na noc wysyłali swe konie na pastwisko zwykle pod opieką dzieci. Wilki bezkarnie porywały źrebaki, a często i stare konie.

W celu tępienia tych szkodników urządzano co roku w ogromnych obywatelskich lasach wielkie obławy, na które władza policyjna, w osobie wszechwładnego wonczas „prystawa", zwykle też myśliwego, dawała pomoc spędzając z sąsiednich wiosek włościan na nagankę, dosięgającą zwykle 200 i więcej osób, przy 50—60 myśliwych.

Obławy te odbywały się zwykle 1-go Sierpnia (st. stylu), w którym to dniu wypadało w prawosławnej cerkwi święto Zbawiciela, po rosyjsku „Spasitiela", a które włościanie zwali świętem „Spasa".

Kursowała pomiędzy ludem tamtejszym legenda, że gdy ś. ś. Piotr i Paweł wędrowali przez poleskie lasy, napadły na nich dwa wilki — i gdy sytuacja stawała się już groźną, któryś ze świętych staruszków zawołał po małorusku: „Spasy Chryste", — w tej chwili zjawił się jakiś myśliwy z pojedynką i za jednym strzałem obydwa wilki położył, znikł w również tajemniczy sposób, jak się zjawił. Za napaść na apostołów wilki od tego czasu najwięcej giną na „Spasa".

W rzeczywistości o tej porze roku młode wilczaki bywają już dość duże i stare zaczynają brać je z sobą na zbójeckie wycieczki. Przy tej praktycznej nauce robią najwięcej szkody — gdyż nie będąc jeszcze dość silne, mnóstwo sztuk kaleczą, — a ponieważ później czynią coraz dalsze ekskursje i wreszcie wcale do gniazdowego miotu nie wracają, był to więc najodpowiedniejszy czas do polowań na nie.

W którem miejscu znajdowało się gniazdo wilcze — doskonale wiedziała straż leśna, wszystko dzielni myśliwi; w wilję obławy, dla sprawdzenia, czy wilki nie wyszły, kilku leśników w nocy rozstawia się w znacznej odległości w około kniei, a jeden specjalista wabiarz nad ranem zaczyna wabić. Gdy młode wilczki odpowiadają, ludzie będąc na podsłuchach określają z wielką dokładnością miejsce, gdzie jest gniazdo.

Wybrałem się i ja pewnego razu przed obławą z leśnikami na takie podsłuchy, czego później cokolwiek żałowałem, — gdy bowiem zostawiono mię w noc ciemną samego w borze, w odległości paru wiorst od następnego towarzysza, przyznaję, że zrobiło mi się dość markotno, chociaż wiedziałem, że wilki tylko zimą włóczące się stadami bywają niebezpieczne; siedziałem cichutko z niepokojem przysłuchując się szmerom, których nocą lasy są pełne: to sowa nad samą głową zahuka, — to wiewiórka z gałęzi na gałąź przeskoczy lub liśćmi zaszeleści, szukając pożywienia, — to sroka nagle zawrzeszczy nie wiadomo przez co ze snu zbudzona, — słowem każden taki odgłos, na który w dzień uwagi by się nie zwróciło, w nocy przejmował strachem — a gdy w dodatku rozległo się w oddali wycie wilka, które ma w sobie coś strasznie żałośnego i przerażającego, chociaż wiedziałem, że to człowiek go naśladuje, przyznam się, że mi zimno się zrobiło, chociaż noc była duszna.

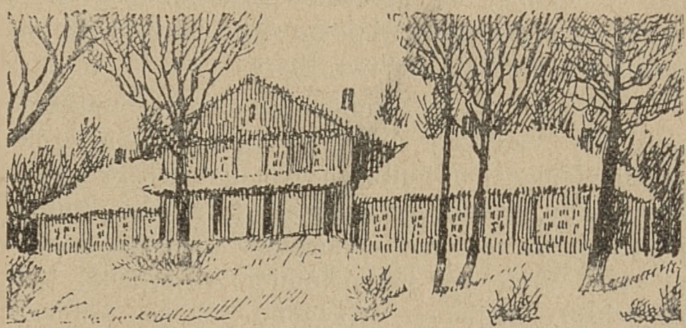
Gdy z wycieczki tej wróciłem nad ranem, spać już po przebytych wzruszeniach nie mogłem, tem bardziej, że wszyscy myśliwi, których u nas sporo nocowało, o siódmej mieli stawić się na śniadanie, a o ósmej wyjazd do lasu.

Gdy po przybyciu do kniei znalazłem się na wskazanem przez prowadzącego polowanie stanowisku, będąc już dość praktycznym, obejrzałem dokładnie przed sobą miejscowość, wyłamałem mogące mi zawadzać przy strzale gałązki i wiedząc, że wobec wielkości ostępu naganka jeszcze nieprędko ruszy, usiadłem pod sosną i odwiódłszy na wszelki wypadek kurki, położyłem dubeltówkę na kolanach. Oddałem się słodkim marzeniom o możliwości wyjścia na mnie wilka, lecz marzenia te, zapewne wskutek bezsenności i przebytych nocnych wrażeń, zmieniły się w sen tak mocny, że nie słyszałem ruszenia naganki, a zbudził mię dopiero strzał sąsiada z prawej strony i prawie w tej że chwili z gąszczu będącego przedemną wypadł

ogromny wilk. Błyskawicznym ruchem schwyciłem fuzję i z rzutu strzeliłem, był wtedy nie dalej jak o pięć kroków przedemną. Trafiony całym nabojem w piersi potoczył się wprost na mnie; — na szczęście, zupełnie machinalnie, nie mając czasu wstać, całą siłą odepchnąłem się z miejsca nogami i zwaliłem na bok. Wtedy zerwawszy się, ze zgrozą zobaczyłem, że leżący na zajmowanem przezemnie przed chwilą miejscu wilk, w agonji chwycił w paszczę rosnącą tuż brzózkę, grubości ręki i w potężnych swych kłach zupełnie ją zmiażdżył, co byłoby spotkało mą nogę, która o tą brzózkę była oparta. Zimny pot wystąpił mi na ten widok na czoło — z trudem opanowawszy wzruszenie, odciągnąłem na stronę wilka i znów stanąłem na stanowisku, zapomniawszy nabić wystrzeloną lufę— lecz chociaż zaraz zaczęły się strzały do młodych wilków, które wychodzą na linję nie tak prędko jak stare, — na mnie już żaden z nich nie wyszedł, — no i było by to zawiele triumfu na jeden raz, — gdyż i tak, gdy myśliwi zeszli się w jedno miejsce i zniesiono tam wszystkie zabite wilki, pięć młodych i jednego zabitego przezemnie starego, (wilczyca postrzelona i jeden młody wymknęły się) — świadek mego zajścia, stary i dobry myśliwy, publicznie oddał mi pochwałę za przytomność i celny strzał, a ponieważ był to pierwszy mój wilk, więc umoczywszy palec we krwi jego dopełnił tradycyjnej ceremonji „chrztu“ myśliwskiego, malując mi policzki farbą wilczą, — a gdy jeszcze ojciec mój dodał parę słów pochwały, myślałem, że mi serce z radości wyskoczy.

Dużo lat od tego czasu upłynęło, dużo najrozmaitszych przygód się przeżyło, lecz te, które w wieku późniejszym miały miejsce, nie zostawiają tak miłych wspomnień, jak przebyte w skłonnych do wrażeń młodocianych latach, w początkach zawodu myśliwskiego.

*Antoni Terpiłowski.*






# NASZA GOSPODARKA ŁOWIECKA.

Przeglądając zagraniczne pisma łowieckie zauważyć można jak nasi sądziedzi pojmują i faktycznie traktują gospodarstwo łowieckie. Przedewszystkiem omawiają oni na początku rodzaj, naturę i stopień kultury ziemi, więcej lub mniej nadających się do hodowli zwierzostanu.

Później następuje obliczenie, ile na danej przestrzeni powinno być przeciętnie zwierzyny, następnie omawiają ochronę i hodowlę, a dopiero na ostatniem miejscu kładą sprawę racjonalnego polowania i płynących z niego korzyści.

Porównajmy teraz nasze stosunki, jak się u nas praktykuje gospodarkę łowiecką. Nie przesadzę gdy powiem, że dwie trzecie właścicieli terenów łowieckich wzgl. dzierżawców, którzy u nas łowiectwo uprawiają, zaczynają od końca, to jest od polowania, które jest u nich główną zasadą. Cała ich rola, jako myśliwych ogranicza się tylko do nieobliczalnego odstrzału zwierzyny, lecz w czasie ochronnym lub w czasie ostrej zimi, żadnej pomocy ani opieki zwierzynie nie udzielą.

W czasie wiosennej rozmnoży zwierzyny ani pomyślą zajrzeć do rewiru, aby szkodliwych drapieżników dla zwierzyny łownej nieco przerzedzić,

a cóż dopiero mówić o zadawaniu karmy w porze zimowej. Przecież to pociąga za sobą wydatki, a w obecnych czasach, kiedy materjalizm wziął górę w każdej warstwie naszego społeczeństwa, chęć zysku jest hasłem w każdej dziedzinie życia, nie może być mowy o jakichś szlachetnych porywach na polu łowiectwa polskiego. Te zastępy prawdziwych myśliwych, hodowców, przejęte głęboko zasadami etyki łowieckiej, nieliczne w porównaniu do całej armji pseudo myśliwych, mimo nadzwyczajnych wysiłków, nie będą w stanie podnieść naszej bardzo nisko stojącej gospodarki łowieckiej, gdy nie przyjdzie im z pomocą rząd. Nie domagamy się od rządu pomocy finansowej, lecz powinniśmy żądać racjonalnej dla naszych warunków ustawy łowieckiej, a przedewszystkiem tego, aby miała ona posłuch a nie była martwą literą.

Własny interes, sumienie i nasze pretensje do wysokiej cywilizacji domagają się tego koniecznie. Jeżeli wymagania kultury wycięły puszcze i zwaliły ostępy, w których stadami żyły łosie, żubry, i jelenie, to tezsame wymagania nakazują staranne hodowanie tej przynajmniej zwierzyny, która właśnie najlepiej utrzymuje się na gruntach uprawnych i umie być wdzięczną za cywilizacyjną opiekę. Jak wygląda opieka rządu dobrze wiemy. Policja państwowa przeciążona i tak masami spraw, nie może tak intensywnie zwalczać kłusowników, wnykarstwa lub swawoli wiejskich niedorostków, którzy wybierają gniazda, niszczą jaja i łapią małe kuropatwy i zajączki. Czyżby nie można wyznaczyć odpowiedniej premji poster. policji za każdego ujętego kłusownika? Aby nie obciążyć skarbu państwa wydatkami na premje, możnaby odpowiednio karać kłusownika aresztem i grzywną, z której pewna określona część mogłaby być użyta na premję.

Następnie zbyt łagodny wymiar kary na kłusowników nie odstrasza ich od tego niecnego rzemiosła.

W zupełności podzielam zdanie autora artykułu № 6. Łow. Pol. WP. Garczyńskiego, że poprostu należy przypuszczać, iż obecnemu duchowi czasu zależy na tem, aby łowiectwo całkowicie zniszczyć, a jego miłośników do reszty zniechęcić. Czas najwyższy, aby sprawy łowiectwa zaczęto traktować nieco poważniej. Dziś, jak ze wszystkiem, tak i ze zwierzyną należy się liczyć po gospodarsku. Każde ekonomiczne marnotrawstwo odbija się na wszystkich, cierpi na niem ogólny dobrobyt i kara za nie spotyka niebawem, chociaż wielu dostrzec tego nie umie. Wprawdzie coś się niby robi, zakłada, buja się po szerokich horyzontach, tylko praktycznego rezultatu jakoś nie widać, a przecież już hora ultima, aby wziąć się naprawdę do roboty i na tem polu tak opuszczonem.

*J. Żarnowski.*

Starogard.



# ŁOWY A MAGJA.



Gwarno i wesoło w cichym zazwyczaj dworku na Wołyniu. Zjechała się moc młodzieży — „kuzynków" i ich kolegów. Na uniwersytecie kijowskim już od paru tygodni wakacje.

Tańczono zamaszyście, flirtowano niezgorzej. Ani przez głowę nie przechodziło tym roześmianym wisusom w granatowych mundurach, że za dwa lata trzech z pośród nich będzie gryźć ziemię...

Jutro polowanie!

Jeszcze het przed świtaniem zawiozą nas dwa pakowne tarantasy ku wielkim, modrym, porośniętym szeleszczącą trzciną stawom.

Kaczek „przepaść"...

Kolację zjedzono już na ganku. Gospodarz powtarza nieustannie: „Panowie, pora spać", lecz ci, co zgromadzili się w skąpo oświetlonym saloniku, jakoś mało zwracają na to uwagi.

W kąciku stoi panna Zosia. Ciemne loczki podrygują figlarnie koło roześmianych ocząt, opalone rączęta obciągają skromnie sukienkę. Tuż

przed nią klęczy kuzynek, a zaraz za nim w tejże samej pozycji kilku kolegów.

— Kuzyneczko kochana, proszę nam pokazać kolanko.

— Prosimy, błagamy, zaklinamy!

— Wstydźcie się!... No... dalej!...

— To jutro, zanim wyruszymy, przez drzwi.

Stary podagryczny wujaszek, choć radby sam ujrzeć kolanko panny Zosi, wyswobadza ją z tej opresji.

— Urwisy, dajcie jej spokój... A to mi dopiero Papuasy!

Bronek otrzepuje pył z rajtuzów:

— Jakże nam wujcio może tak od Papuasów! Stary myśliwski obyczaj...

— To może i nabożeństwo, które odprawiano dawniej do św. Huberta, pochodzi z jakiej Polinezji? — pyta Kazik.

— A pewnie, że tak.

To „pewnie, że tak“ wypowiedziane głosem stanowczym przez starego wujaszka, który długi czas (będzie to temu lat trzydzieści) polował na „grubego“ około jeziora Nyassa wywołuje duże wrażenie. Zapomniano nawet o kolanku panny Zosi. Tylko jeden zawzięty Bronek powtarza:

— A to z wujcia heretyk! Dobrze, iż ksiądz nie słyszy.

* * *

A jednak stary myśliwy, który miał na sumieniu nie jednego hipopotama i kilka słoni, powiedział prawdę. I co do kolanka panny Zosi i co do św. Huberta...

Gdybyśmy poddali ścisłej rewizji nasze obyczaje i tradycje myśliwskie, gdybyśmy tak po ich tropach cofnęli się wstecz aż do czasów kiedy to św. Wojciecha zamordowali Prusacy, dowiedzielibyśmy się niejednej ciekawej rzeczy. Szczególnie gdybyśmy spostrzeżenia nasze porównali z pracami podróżnych i badaczy tej miary, co: Catlin (The North America Indians), Turner (The Hudson Bay Eskimo), Nassau (Fetischism in Westafrica), Brooke (Ten years in Sarawak), Charlevaix (Journal d'un voyage dans l'Amerique septentrionale), Boas (The N. W. tribes of Canada), Livingstone (Missionarytravels), J. Mooney (The sacred formulas of the Cherokee). One to dostarczyły nam głównie materjału do niniejszej pogawędki i z nich to cytujemy większość faktów.

Cofnijmy się więc wstecz, cofnijmy się nawet poza czasy św. Wojciecha — w pomrokę wieków przedhistorycznych.

Przypuśćmy, że jakiś zręczny hypnotyzer uśpił nas doskonale... Oczom naszym przedstawia się nagle widok pra-praszczura myśliwego tego, który w eleganckim kostjumie, ze śliczniutkim sztucerem w ręku, zaopatrzony w naboje z bezdymnym prochem, wysiada na jakiejś małej stacyjce z wygodnego przedziału pierwszej klasy.

O cóż za postać potworna, a godna wielce ogrodu zoologicznego Hagenbeck'a! Wzrok dziki. szata (jakieś źle obłupione futro) plugawa, we włosach insekty, a w rękach lanca z kościanem ostrzem, kamienna siekierka, łuk i pierzaste strzały, Zapach... menażerji.

Taki prymitywny egzemplarz ma umysłowość przedhistoryczną, prelogiczną, mistyczną. Wyrażając się mniej naukowemi terminami jest nieco zacofany i zabobonny. Postępki jego są oczywiście zgodne ze sposobem myślenia.

Nie trudno nam też będzie zgodzić się z tem, iż postępowanie owego osobnika (praszczura dzisiejszego eleganckiego myśliwego) przed, w czasie i po polowaniu nie wiele się różniło od postępowania dzisiejszego, czy też wczorajszego Eskimosa, Sioux'a, Cherokee'sa, Papuasa, lub też obywatela z nad jeziora Nyassa.

Było ono przedewszystkiem prelogiczne, mistyczne i nacechowane magją. W owych czasach nikt nie śmiałby wątpić w skuteczność nabożeństwa do św. Huberta, ani w cudowne działanie kolanka panny Zosi, jak to uczynił ów wujaszek należący do epoki pozytywizmu.

Aby łowy wypadły pomyślnie, należało przedewszystkiem wywrzeć na zwierzynę pewien czarodziejski wpływ. Dzięki pewnemu działaniu magicznemu zwierzyna chcąc nie chcąc musiała się zjawić na terenie myśliwskim danego plemienia.

Zwierza należy przekonać i ubłagać na odległość, inaczej ani rusz nie pozwoli się zabić. Zależy to jedynie od dobrej woli ssaka, ptaka lub ryby. Toż nie tylko mięso, lecz i pokarm roślinny jest darem „duchów“ zwierząt i roślin.

Ceremonja przygotowawcza polega przedewszystkiem na postach, śpiewach nabożnych i tańcach. Odbywa się całe misterjum, przestawiające polowanie.

Według Uaflin'a, szczep Mandanów (Półn-Amer.) w następujący sposób przygotowywał się do polowania na bizony... Około piętnastu myśliwych rozpoczyna taniec. Każdy ma na sobie skórę i czaszkę bizona z rogami (lub odpowiednią maskę). W ręku lanca i łuk. Taniec trwa bezustannie, tak długo, aż się stado bizonów nie ukaże na horyzoncie stepu (czasem parę tygodni). Przedstawia on wszystkie epizody łowów — od osaczenia, aż do zabicia zwierza. Gdy jeden z tańczących się zmęczy, daje to do zrozumienia, pochylając się nap zód; drugi (jeden z tych, którzy siedząc otaczają tańczących) bierze go na cel z łuku. Tańczący pada,

udając charakterystyczny upadek ranionego bizona. Inni rzucają się na niego; wyciągają noże i wymachując niemi nad leżącym, udają łupienie ze skóry i patroszenie. Miejsce niby zabitego zajmuje nowy tancerz i tak bez końca, aż do chwili zjawienia się prawdziwych bizonów.

Sioux'owie np. upraszczają sobie często tę ceremonję w ten sposób, iż szaman (czarodziej) zatyka w miejscu, gdzie mają się odbyć, łowy wysoką żerdź. Na czubku żerdzi umieszcza figurkę wyobrażającą słynnego czarownika lub myśliwego oraz figurkę zabitego już zwierzęcia, na które ma się zapolować. Przedstawia to przewagę myśliwego nad zwierzyną i musi (według mniemania Sioux'ów) przynieść powodzenie.

Wartość wszystkich tych ceremonij polega na magji, w której uczestniczy mistycznie zarówno myśliwy, jak i jego ofiara. Toż dla umysłu pierwotnego przedmiot wyobrażający oryginał jest tem samem, co oryginał. Jeśli więc kto posiada wyobrażenie, to dzięki temu posiada i oryginał. To czego dokonano z wyobrażeniem, dokonano już i z oryginałem.

W Kanadzie przed polowaniem na niedźwiedzie pierwotni myśliwi poszczą przez cały tydzień —nawet kropli wody do ust wziąć nie wolno. Przez cały dzień rozbrzmiewają śpiewy... Niektórzy obcinają sobie włosy na różnych częściach ciała. Wszystko to odbywa się na cześć duchów zwierząt zabitych podczas poprzednich łowów. To jednak jeszcze nie wystarcza... Koniecznym warunkiem powodzenia jest, aby większości uczestników przyśnił się niedźwiedź i to w tej okolicy, gdzie go mają zabić. Dopiero po tem wszystkiem dowódca wyprawy urządza wielką ucztę, w czasie której nic nie jedząc opiewa tylko swą zręczność, odwagę i dzielność podczas polowania. Po uczcie następuje wymarsz. Wszyscy uczestnicy malują twarze na czarno i uzbrajają się, jak na wojnę. Ci, którzy pozostają w domu, są również obowiązani wysmarować sobie fizjognomję.

Podobnie zachowują się i łowcy kozic górskich. Poszczą i kilkakrotnie kąpią się w ciągu nocy poprzedzającej łowy, a następnie malują twarz, tylko w ten sposób, że brodę zabarwiają całkowicie na czerwono, a w poprzek czoła aż do końca nosa przeciągają czerwoną kresę.

Na tem jeszcze nie koniec. Należy bowiem i broń oraz przyrządy łowieckie poddać pewnym zabiegom magicznym.

U Fangów w Afryce zachodniej uroczystość ta nosi nazwę „biang nzali" (zaklęcie broni). Dopiero po niej można się spodziewać, iż broń będzie działać składnie.

Nie zdaje mi się, aby którykolwiek z dzisiejszych Nemrodów zechciał się poddać podobnym ceremonjom, choć co do eleganckich „pań polujących" miałbym pewne wątpliwości... Tańczyć lubią prawie wszystkie, post nadaje figurze pewnej gracji, malowanie zaś buzi nie jest wcale rzeczą nieznaną, a tembardziej straszną, o ile kosmetyki pochodzą z Paryża i są zachwalane przez tamtejsze pisma. Toż często spotykamy polujące na ulicy niewiasty, których twarzyczki są pokryte tak doskonałą i zwartą masą nie zawsze delikatnej czerwoności, iż mogłaby (gdyby ją naturalnie nakładano z pewnemi zaklęciami) zabić nie tylko resztki naszych kozic w Tatrach, ale pozbawić życia cały zwierzyniec ks. Hohenlohego w Jaworzynie i przyległych dolinach. Również umartwianie się podczas postu polegające u Fangów na przebijaniu sobie nozdrzy i uszu kolcami, nie odstraszyłoby naszych Djan, oczywiście z tem znów zastrzeżeniem, iż kolce te byłyby złote i ozdobione pięknemi brylantami.

W ten sposób zachowywali się więc szlachetni przodkowie naszych dzisiejszych myśliwych w okresie poprzedzającym polowanie i bezpośrednio przed wymarszem.

Niechże się jednak nie zdaje, że na tem koniec, że podczas samych łowów, to już hulaj dusza i jak kto chce. Zachowaj nas od grzechu św. Hubercie.

I samo polowanie ma głęboki podkład mistyczny, a wszystko zależy tu również od pewnych praktyk magicznych.

Australijczycy, polując na emu rzucają weń zdaleka okrągłym kamieniem, nasmarowanym tłuszczem i oblepionym piórami. Taki kamień nosi nazwę „oka emu" i nie pozwala ptakowi odlecieć daleko.

Tamtejszy myśliwy, po odkryciu śladów kangura, idąc za nim w trop, nie przestaje wymawiać pewnych zaklęć magicznych. Polegają one na tem, że wymienia się kolejno różne części stopy, a następnie nogi, wznosząc się w ten sposób poprzez ogon aż do grzbietu. W chwili zaś, gdy się wymienia kręgosłup, zwierzę głupieje podobno całkowicie i łatwo je już zabić. Jest też rzeczą bardzo wskazaną, aby mieć przy sobie rozżarzone węgielki, rzucając je bowiem na odciski stóp zwierzęcia pozbawia się je szybkości. Nieodzownem jest również, aby rączka oszczepu była zrobiona z kości ludzkiej (cóż za cenna wskazówka dla niemieckiego ludożercy Denke'go). Rączka ta powinna być dobrze wypolerowana i zaostrzona na końcu. Spotkawszy się ze zwierzem należy mu ją na moment przed rzutem pokazać. Czynność ta działa na ofiarę paraliżująco. Niezgorzej też utrudnia zwie-

rzynie ucieczkę zawieszenie na gałęzi woreczka z kawałkiem skóry, tłuszczu lub padliny.

Łowcy słoni w Indo-Chinach udzielają pozostającym w domu żonom całego szeregu bardzo surowych zakazów. Nieszczęśliwym kobietom nie wolno trzymać poza domem tłuczka i moździerza do ryżu, nie wolno się czesać, obcinać włosów i smarować ciała oliwą. Nie wolno udzielać gościny obcym...

Od tego wszystkiego zależy w najwyższym stopniu szczęście na łowach. Z różnych zaś zdarzeń podczas polowania można wnioskować ściśle, jak się zachowuje pozostawiona w domu żona... Bo jeśli np. zerwie się lina, służąca do krępowania słonia, lub teżześlizgnie się z nogi schwytanej już bestji, to kobieta napewno ufryzowała sobie włosy, namaściła się oliwą lub zaprasza do swej chaty jakiego włóczykija. Jeśli zaś schwytany słoń ucieknie z zagrody, wtedy można przysiąc, że zdradziła swego polującego małżonka. I biada jej po powrocie!

Człowiek pierwotny jest zawsze przekonany, że niepowodzenie podczas łowów jest winą kogoś z bliskich, który ośmielił się przekroczyć obowiązujące przepisy.

Powyżej wyraziłem mniemanie, iż dzisiejszy myśliwy nie zgodziłby się na najrozmaitsze zabiegi, którym poddałaby się może chętnie „pani polująca". W tem miejscu zdaje mi się jednak, że dzisiejsza „pani niepolująca" oburzyłaby się w najwyższym stopniu na tego męża-nemroda, któryby jej zabronił kąpieli, różu, pudru, manu i pedicure'u, obcinania i fryzowania włosów, a przedewszystkiem gościnnych rozmów z cudzoziemcami oraz konsekwencyj takich rozmów. Jakby się miała sprawa z tłuczkiem, moździerzem, czy też wyżymaczką, tego jeszcze napewno powiedzieć nie umiem.

Polowanie skończone. Wspaniały krajobraz zimowy. Smukłe choiny aż uginają się pod migotliwą bielą śniegową. Rozkład 80 kotów. Wesoło uśmiechnięte grono myśliwych. Co drugi przynajmniej trzyma Mauzera z Gerardem (8-miokrotne powiększenie). Pozostają jeszcze dwie ewentualności: a) dać się sfotografować, jeśli który z uczestników ma aparat, b) zjeść — ale to już napewno — obfity, aczkolwiek spóźniony nieco obiad.

Nie tak prosto, spokojnie i pogodnie zapatrywali się na te sprawy nasi przodkowie z ery przedhistorycznej. Nie tak łatwem i przyjemnem jest zakończenie łowów dla dzisiejszego Papuasa czy Fanga...

Konieczność mistyczna każe, aby ceremonje magiczne przed polowaniem i w czasie polowania zostały uwieńczone równie magicznym akordem, aby po wstępie, rozwinięciu i katastrofie nastąpił równie mistyczny epilog.

Należy wykonać cały szereg czarodziejskich zabiegów, które wymagają przezwyciężenia różnych dziwnych subtelności. Niektóre z nich powinny zapobiec zemście ubitego zwierza, inne znów ubłagać ducha całego gatunku, do którego ofiary polowania należą. Toż zarówno zwierz jak i człowiek istnieją po śmierci nadal — bratają się z cieniami swego gatunku. Przeznaczeniem ich jest narodzić się znowu... A więc, zgodnie z wierzeniami człowieka pierwotnego, rzecz to pierwszorzędnej wagi, aby ze swemi ofiarami nie zadzierać i pozostawać z niemi w jaknajlepszych stosunkach.

Myśliwy Cherokee, po powrocie z łowów, rozpala poza sobą ognisko, aby duch króla jeleni nie mógł za nim pogonić i dotknąć go za karę reumatyzmem.

Sioux'owie, po zabiciu niedźwiedzia, wkładają mu do pyska zapaloną fajkę i, okadzając dymem tytuniowym, proszą, aby im nie miał za złe, że go zabili i nie przeszkadzał im podczas następnych łowów.

Inni znów obmywszy martwego misia z krwi i błota, obsypują go całego białym puchem, wkładają na łeb czapkę wodza i usadzają na honorowem miejscu przed naczelnikiem swego plemienia. Obficie zastawiona jadłem taca stoi na ziemi pomiędzy zwierzęciem i wodzem, a całe otoczenie prosi misia jaknajuprzejmiej, aby zechciał jeść.

U niektórych plemion Afryki zachodniej do wnętrza wypatroszonego już hipopotama włazi nago jeden ze strzelców, klęka i wymazuje się od stóp do głów krwią i kałem zwierza, modląc się jednocześnie do ducha hipopotama, aby mu ten wybaczył zabójstwo i nie podżegał przeciwko niemu pozostałych przy życiu braci. Ci albowiem mogliby przez zemstę zatopić jego łódkę.

W innych stronach po ukończonem polowaniu, każdy ze strzelców zbliża się kolejno do zabitego jelenia, gładzi go płaską dłonią od pyska aż do ogona i dziękując mu za to, że się pozwolił zabić, odchodzi z ukłonem, mówiąc: „O, starszy bracie, spoczywaj w pokoju!"

Dzięki tym zabiegom zostały ustalone powtórnie normalne stosunki pomiędzy plemieniem, do którego należą myśliwi, a grupą rodzinną zabitego zwierzęcia. Krzywda została okupiona — można się już nie obawiać żadnej zemsty, przyszłe łowy udadzą się z pewnością doskonale.

W każdym razie trzeba przyznać, że owe dzikusy, obawiające się różnych złych następstw po ułożeniu niedźwiedzia, czy jelenia zdają sobie sprawę z tego, iż zamordowanie nawet zwierzęcia sprzeciwia się prawom życia. Dzisiejsi myśliwi,

otaczający z bronią w garści rozkład 80 zajęcy, czy też 12 sarn, poczucia tej odpowiedzialności wobec życia nie mają *) i dlatego uważamy ich prawdopodobnie za wyższych pod względem kultury i cywilizacji.

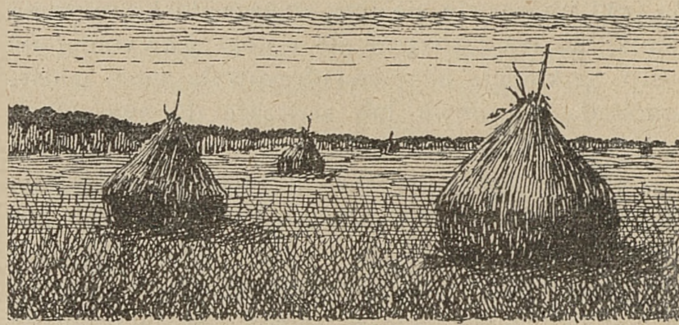
Z tego wszystkiego wynika, jak wielką rolę odgrywa podczas łowów magja i czarodziejstwo u społeczeństw pierwotnych. Nic tam nie odbywa się bez postów, specjalnych nabożeństw oraz inwokacji do duchów zwierząt.

Całe powodzenie zależy tu jednak w istocie rzeczy od zupełnie objektywnych warunków, a mianowicie: od obecności zwierzyny w pewnem określonem miejscu, od środków zapobiegających spłoszeniu zwierza i od broni przygotowanej do sprawnego działania. Ludom pierwotnym nie wystarczają wszakże te konieczne i objektywne warunki zawarte w ceremonjach łowieckich. Przedhistoryczni przodkowie naszych myśliwych żądają, aby środki, zapewniające owe warunki, posiadały pewne właściwości magiczne, aby je cechował pewien mistyczny nastrój. Jeśli się zaniedba magji, to najlepszy myśliwy nie spotka zwierza, najlepiej sprawiona strzała nie trafi, a wielokrotnie sprawdzana sieć przerwie się.

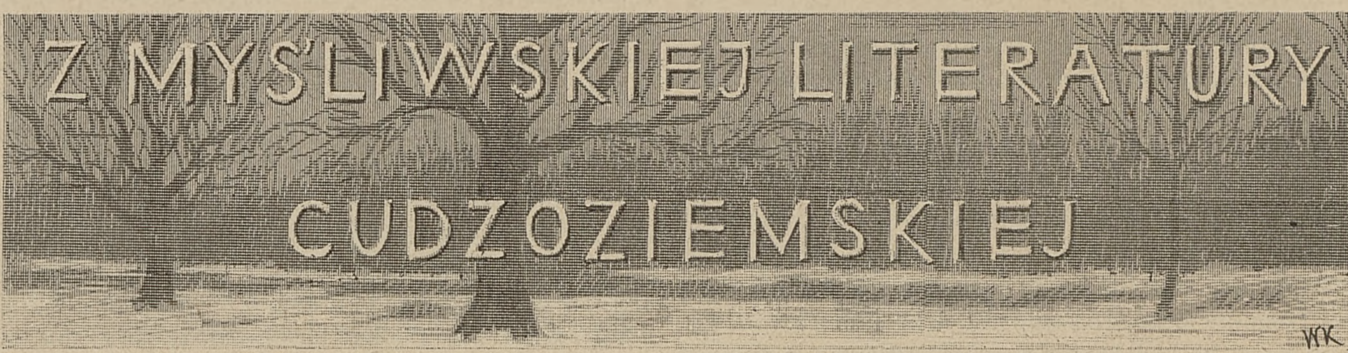
Czyż ślady tej magji nie przetrwały po dziś dzień w przesądach i obyczajach myśliwskich?

I znów staje mi przed oczyma ów cichy, przedwojenny dworek na Wołyniu i ów stary wujaszek ratujący z opresji białe kolanko panny Zosi i odzywający się tak sceptycznie o nabożeństwie do św. Huberta...

*Edmund Strążyski.*



*) Zarzut to zbyt ogólnikowy i polegający na nieporozumieniu: nie każdy strzelec jest myśliwym. (Przyp. Red.).




# KRWIOŻERCZE GŁUSZCE.

*(Prawdziwe „curiosum").*

Nie zawsze wszystko u nas tylko jest źle, a u innych dobrze. Odczytując z prawdziwem zaciekawieniem, skądinąd wyczerpujące, fachowe francuskie dzieło „L'élévage pratique du Gibier" par Alphonse Blanchon—wydane przez księgarnię Larousse'a w Paryżu odznaczone nagrodą Francuskiego Towarzystwa Rolniczego, z przedmową znakomitości łowieckiej, hr. Clary, prezesa tak poważnej instytucji, jaką jest niezawodnie St. Hubert-Club de France—w rozdziale poświęconym głuszcom natrafiłem na str. 34 na ustęp, którym muszę podzielić się z Szanownemi Czytelnikami oraz najmilszemi kolegami memi z pod znaku św. Huberta.

Jestem przekonany, że dostarczę Im w dzisiejszych ciężkich czasach — chociażby kilka chwil prawdziwej wesołości!

Jednocześnie będzie to jeszcze raz potwierdzeniem radosnej prawdy, iż, dzięki Bogu, w naszej prasie łowieckiej — podobny wzór gruntownego nieuctwa nigdy i nigdzie nie mógł by ujrzeć światła dziennego.

Jesteśmy, niestety, tak bardzo skłonni zachwycać się zawsze cudzoziemską mądrością — z bezlitosnem krytycyzmem odnosząc się do polskich dodatnich objawów, prac, obserwacyj—że podobnie ciekawy opis królewskich naszych ptaków wzbudzić w nas może uczucie słusznej dumy narodowej.

Daleki jestem, aby wykluczać konieczność

nieubłaganej nieraz krytyki w stosunku do mnogich naszych bolączek, lecz przenigdy nie ryczałtowo! A pochopni do tej „metody“ zwykle srodze jesteśmy!

W dosłownem tłumaczeniu podaję brzmienie tego ciekawego nader ustępu: „Podobny stan ostrożności zatraca kogut głuszec w okresie godowym; wówczas wszelka czujność ostatecznie w nim zamiera. Można wtedy śmiało podejść do niego; głuszec próbować nawet nie będzie ratować się ucieczką. Pod wpływem jakby ekstazy zaczyna puszyć się! (?) widok człowieka żadnego wrażenia na nim nie czyni, nawet kilkakrotne strzały — bynajmniej nie zmuszą go, by się podjął na skrzydła! Podobny sposób zachowania się wyrobił o tym ptaku opinję, że jest on głuchoniemym (?)! Przytaczają nawet nadzwyczajne wypadki głuszców, które pod wpływem uczuć płciowych rzucały się na osoby przechodzące obok drzewa obranego dla swych schadzek godowych — szarżując na nie zawzięcie dziobem i pazurami“!

Perły, nieprawdaż — prawdziwe perły!?

Powoływanie się na Brehma Ojca, autora owych elukubracyj, oraz na twierdzenia niektórych starych myśliwych, że podobno zdarzały się wypadki tak intensywnego stanu furji u głuszców, pod wpływem którego to afektu głuszce nie wahały się czasem atakować przeciwnika — nie ratuje sytuacji. Niezawodnie jeśli się takie fakty zdarzały— nosiły charakter najzupełniej sporadyczny.

Lecz uogólniać, raz chyba na sto lat mogącą się zdarzyć katastrofę — wprowadzając do stałego opisu zwyczajów i zachowania się głuszca to, mówiąc delikatnie, stanowi szczyt lekkomyślności!

Zresztą, co do mnie osobiście — to i Brehma twierdzenie i starych gajusów opowiadania na temat „wojowniczości“ rzekomej głuszca — zdają mi się bardzo a bardzo przesadzonemi!

Zresztą, jak mówi poeta: „wszystko to być może, lecz ja to między bajki włożę“. I zdaje mi się słusznie, łaskawi Czytelnicy!

Konkluzja, wynikająca z tego sławetnego zwyczaju „trubadurów wiosny“—jak ich tak ładnie nazywa mistrz dr. Zaborowski—jest następująca: „gdy Bóg da znowu doczekać radości czarów nocy tokowych. — kochani Koledzy! — na rany Boskie! — ostrożności! ostrożności i jeszcze raz ostrożności!

Nie wychylajcie się nigdy nieuzbrojeni na tokowisko!—Broń boczna i to jeszcze typu repetującego a nawet biała—nigdy nie zawadzi! Nie narażajcie też waszego wiernego towarzysza, zwykle bez oręża będącego, poczciwego Poleszuka na możliwe kalectwo lub śmierć nawet!

Zresztą lepiej im raz na zawsze zabronić niebezpiecznej operacyj „podsłuchów“ oraz „zasadzania“—śpiewaków! Albowiem może to stać się piekielnie ryzykowną imprezą!

Raptem zauważy—podły, krwiożerczy ptak!— i jak przedpotopowy „pterodaktyl“ — z nalotu rzuci się na zdumionego Ustynia, Hryhora lub Wasyla...

Przy ognisku jednak, w „kurzeniu“, dalipan, warto tym ostatnim o dziecięco-zacnych oczach, rzadkich bródkach i płowych włosach w grzywkę nad czołem obciętych, szczegółowo opowiedzieć — jak to „pany“ we Francji i to rozumne z najrozumniejszych—obawiają się i opisują „hłuszciw“!

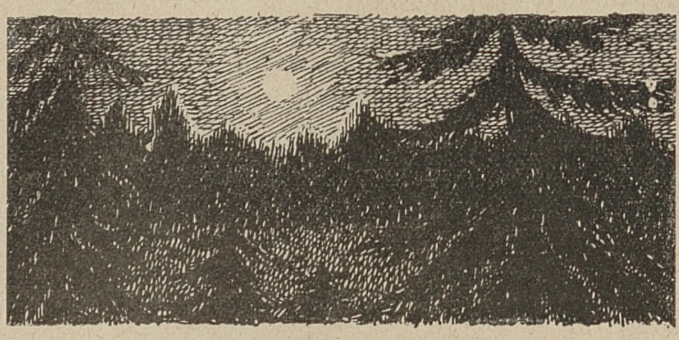
Toż to śmiechu rzetelnego będzie! – aż młode „chwojniaki“ wokoło zakołyszą się z uciechy...

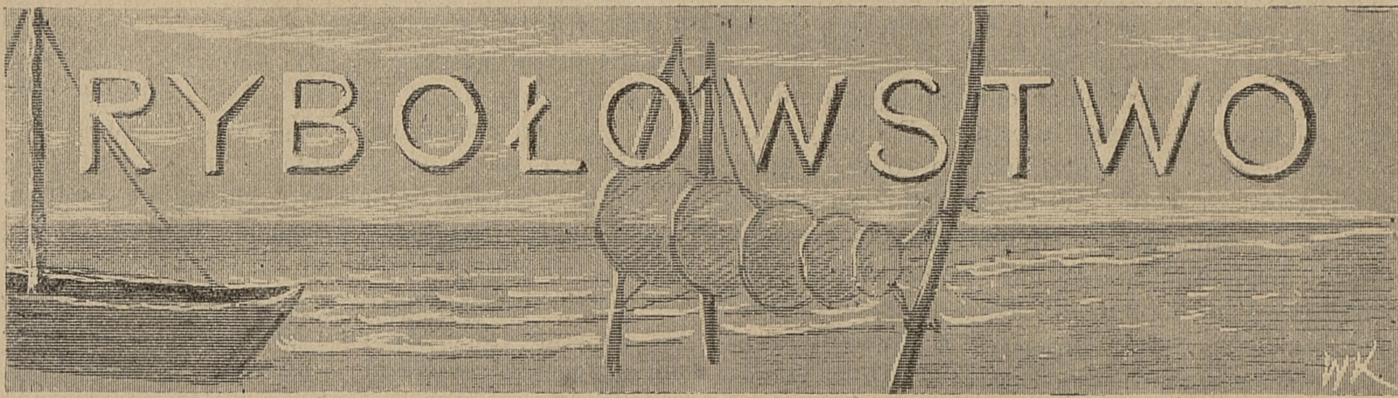
Gdyby mi naprzykład Szanowna Redakcja powierzyła opis polowania na aligatory, szympansy lub tygrysy o których, niestety, pojęcia zielonego nie mam, to najprawpodobodniej nie podjąłbym się podobnej misji. A jeśli musiałbym coś napisać, przewertowałbym nie jedno dzieło, a dopiero później uzbroiłbym się w pergamin, inkaust i gęsie pióro!

Gdy się pomyśli tylko o takiej mistrzowskiej polskiej monografji „Głuszca“ p. Świętorzeckiego— w której ręką pisarza o niepospolitym darze obserwacyjnym, mamy skreślonego pieśniarza puszczy, takiego, jakim jest w najtajniejszych chwilach swego żywota, gdy się weźmie do ręki brzmiące melodją nocy prześnionych w puszczy dzieło Korsaka „Pieśń puszczy“, gdy się zajrzy do duszy Moroza wyczarowanej przez genjalnego Weyssenhoffa konającej na tle księżyca w sylwetce czarnej króla borów, gdy się wczyta w cudne przeżycia Ejsmonda, Zaborowskiego, Woyniłłowicza i tylu tylu innych poetów-myśliwych polskich odczuwających piękno głuszcowej pieśni, — to doprawdy uczucie dumy wstępuje w polskie serce. Nie zmarnowaliśmy skarbów przez antenatów nam pozostawionych, darów Matki Przyrody świętej... Polski myśliwy dumnym być może. Pierś polska tyle wycierpiała w przeszłości — niechże choć teraz hejnał tryumfu do głębi ją koi i radością żywi!

*Adam hr. Rzewuski.*

Warszawa, Styczeń 1925.






# W sprawie wędkarstwa.

Witając pojawienie się pierwszych chociaż krótkich artykułów o wędkarstwie sportowem, nie mam zamiaru stawać w opozycji co do nich, pragnąłbym jednak zrobić kilka uwag. Do zajęcia się wędkarstwem zmusili mnie bolszewicy, przed którymi trzeba było ukryć jaknajdokładniej wszelką broń myśliwską i mowy być nie mogło o polowaniu; praktyka więc moja jest bardzo niewielka, sądzę jednak, iż Szanowny Autor popada w zbyt wielką krańcowość uznając za godne sportowca tylko łososie i pstrągi. O ile moja skromna praktyka sięga, to i gatunki bardziej rozpowszechnione i mniej cenne dostarczyć mogą wiele emocji; chociażby szczupak, a szczególnie skromny nasz karp dziki, który jest bardzo zmyślny, a przy tem umie dzielnie się bronić i używa nie byle jakich forteli, szczególnie egzemplarz, który już nieraz próbował haczyka; nawet duże egzemplarze okonia są trudne do zdobycia i wymagają znajomości życia tego bolszewika naszych wód. By uprawiać z powodzeniem wędkarstwo trzeba przedewszystkiem nauczyć się czytać w tajemniczej księdze wody, a to ze wstrętnem „maltretowaniem glist", jak się słusznie wyraża Szanowny Autor artykułów, niema nic wspólnego. Drugą uwagę pozwolę sobie zrobić, że Szanowny Autor zbyt przeraża ludzi niewtajemniczonych wielkiemi cenami wędziska i innych przyborów. Wędka angielska jest bardzo dobra, ale tylko w ręku zręcznego i doświadczonego rybaka, początkujący zaś rady sobie z nią nie da i nastąpi wielkie rozczarowanie, bo droga wędka nie będzie chciała łapać ryby. Dla początkującego starczy zwykłe bambusowe wędzisko około 3 metrów długości z pierścieniami i kołowrotkiem, chociażby bardzo taniemi. Wędzisko takie bardzo łatwo zrobić składanem łącząc pojedyńcze części skówkami blaszanemi dobrze dopasowanemi, pierścienie zaś sporządzić samemu z kawałka drutu mosiężnego. Stanowczo odradzam kupno wszelkich wędzisk składanych szczególnie służących jednocześnie jako laska, bo są nic nie warte.

W Bolszewji używałem z powodzeniem składanego wędziska własnej roboty, używając do tego bardzo prostych materjałów: cienki koniec robi się z równego pędu zwykłego bzu, środkowy najlepiej z wiązu, a gruby—obojętny materjał byle najlżejszy, doskonale nadaję się sosna lub świerk; wędziska takiego używałem z powodzeniem na karpie rzeczne i byłem z niego bardzo zadowolony. Sądzę, że łagodząc cokolwiek zbyt wygórowane wymagania od początkującego wędkarza, trafiam w zasadniczą myśl Szanownego Autora ruszenia z martwego punktu tej gałęzi sportu i nie ściągnę na siebie podejrzenia o protegowanie bezmyślnego wysiadywania nad brzegiem z całym lasem różnej długości tyczek chmielowych zaopatrzonych w najrozmaitsze przysmaki zaczynając od glist i kończąc na muchach, w oczekiwaniu łaskawego zahaczenia się jakiejś samobójczyni rybiego rodu.

*H. Olszański.*

Poznań.